

O LUDWIKU FLASZENIE

Ludwik Flaszen był uroczym człowiekiem i znakomitym rozmówcą, dowcipnym, jowialnym, rubasznym i przenikliwym. Doskonale pamiętam, jak wiosną 1975 roku jechałem z nim i Jerzym Grotowskim pociągami z Wrocławia do Warszawy. To był czas przygotowań do Festiwalu Sezonu Teatru Narodów w obu tych miastach. Pracowałem wtedy dla Polskiego Ośrodka ITI w Warszawie, ale byłem tam też „wtyką” Grotowskiego, z którym się przyjaźniłem od 1970 roku. Między spotkaniami negocjacyjnymi obaj panowie wpadli do mnie na Willową na herbatę. Byli przekomiczną parą. Obaj na czarno. Brodaty i brzuchaty Flaszen wyglądał jak prawosławny batiuszka, a chudy Grot, z rzadką brodą, jak młody diaczek u jego boku. Kojarzyli mi się też z Sancho Pansą i Don Kichotem. Kiedy Flaszen położył się na plecach na dywanie pod wielką złotą pustą ramą obrazu, wyglądał jak czarny wieloryb odpoczywający na falach.

Bez Flaszena nie byłoby Teatru 13 Rzędów w Opolu i nie wiadomo, w jaką stronę rozwinąłby się teatr Grotowskiego. Flaszen przez wiele lat był opiekuńczym starszym bratem Grota. Miał dużą wiedzę literacką i teatralną, umiał dowcipnie i celnie, kilkoma jadowitymi słowami, skwitować dyskusję. Grot słusznie nazywał go adwokatem diabła. Obaj byli misjonarzami ówczesnej Wielkiej Sprawy, a jednocześnie tricksterami-żartownisiami. Drwili z cudzej powagi, lecz sami domagali się posłuchu. Bez wiernych słuchaczy nie istnieliby. Żyli w dialogu, który im łatwo przychodził, bo byli bardzo towarzyscy i obaj byli znakomitymi retorami. Flaszen, na wesoło, ze skłonnością do krasomówstwa, sypiąc anegdotami i zwischenrufami, jak mistrz Twardowski, co „śmieszy, tumani, przestrasza”, a Grot, na poważnie, jak jakiś mistagog w stylu Towiańskiego czy chasydzkich cadyków, spowity aurą tajemnicy, którą umiejętnie w swych kazaniach dozował wybrańcom. Różnili się też bardzo. Flaszen nie był narcyzem w przeciwieństwie do Grota, nie miał tęsknot ascetycznych i nie przybierał póz kapłańskich. Był dionizyjskim optymistą, mimo ukrytych lęków przed przemocą, faszyzmem i antysemityzmem. Bardzo lubił kobiety, a także dobrze

zjeść i wypić. Chyba dopiero na starość poznał melancholię, stałą towarzyszkę Grota.

Z Grotem byłem na ty i rozmawialiśmy zawsze o sprawach duchowych, a z Flaszenem na pan i dyskutowaliśmy na różne tematy. Raz zapytałem go o to, jakie jest najpiękniejsze miasto świata. Odparł, że Isfahan. W 1973 roku zasięgnąłem jego rady, co warto zobaczyć w Wiedniu, który miałem odwiedzić. Powiedział mi, że najpiękniejszy obraz Bruegla *Powrót z polowania*. Kiedy jadąc na południe Europy dotarłem do muzeum, szybko przemierzyłem długie korytarze pałacu, by zacząć oglądanie od tego cudu. Zbliżyłem się do Bruegla, a ktoś tam stoi pod obrazem i kontempluje go? – pan Ludwik! Stałem obok niego i powiedziałem: „Ma pan całkowitą rację, panie Ludwiku!”

Tylko raz tłumaczyłem wystąpienie Flaszena dla cudzoziemców, w Brzezince w 2009 roku, kiedy śpiewali tam i tańczyli bengalscy Bauli, a Rena Mirecka hasała jak młódka wokół ustawionego na środku sali, uschniętego drzewa-maiku z kolorowymi wstęgami. Już po wszystkim Flaszen podszedł do mnie i zapytał: – Jak to jest, że pan nas tak dobrze rozumie? – Wie pan, medytuję i od 1975 tłumaczę na żywo mistrzów medytacji. – No, tak, oczywiście. To było nasze ostatnie spotkanie.

Na zdjęciach z lat ostatnich przypominał starego Dionizosa. Pan Ludwik pozostanie dla mnie dobrym duchem Grota i jego najbliższym komilitonem, a także wielkim czarodziejem jak kot z poematu *Ruslan i Ludmiła* Puszkina:

*Jest nad zatoką dąb zielony,
Na dębie złoty łańcuch lśni;
I całe noce, całe dni
Wędruje po nim kot uczony;
Zwróci się w prawo – śpiewa pieśń,
A w lewo – bajki opowiada.*

Jacek Dobrowolski